

Wojciech Stanisławski: Zróbmy sobie naród

Nigdy dotąd nie było tak łatwo „zrobić sobie narodu” – tyle, że powstanie tego rodzaju bytu, który wiek temu mężowie stanu traktowaliby z najwyższą powagą, dziś stosunkowo mało kogo obchodzi – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”:
Votum separatum?

Sprawa Katalonii poruszyła europejską opinię publiczną nieporównanie silniej niż przypadki Śląska czy Gagauzji, porównywalnie za to z owianym dymami wojny Kosowem, z którym zresztą natychmiast zresztą zaczęto budować równie chwytliwe, co kulawe analogie. W prasie i na portalach zaroilo się od mapek, z których wynikało, że od tendencji separatystycznych w zasadzie wolne są w Europie Watykan i San Marino, ewentualnie Słowenia: wszystkie inne kraje stoją na krawędzi rozpadu, nawet w Niemczech fronduje, jak się okazało, Bawaria, a już francuski postaw płótna (czy może raczej, biorąc pod uwagę specyfikę kraju – jedwabiu) rwany jest na strzępy przez mściwych Bretończyków, irredentystów normandzkich czy nieco mitycznych „Okcytanów”.

Oczywiście, w takiej sytuacji nigdy dość lania oliwy na fale, frakcjonowania różnych stężeń demagogii i wyjaśniania, że na przykład podpalenia przez laty zakładu fryzjerskiego niekoniecznie oznacza, że brytyjską Kornwalię należy zaznaczać na czerwono na mapie „potencjalnych separatyzmów”. Podobnie fakt, że (bliższa mi z racji bałkańskich zainteresowań) koncepcja „Północnego Epiru”, która

stawała kością w gardle relacjom grecko-albańskim przed wiekiem, w ramach prób zarządzania masą upadłościową po imperium ottomańskim, odżyła na poziomie dwóch komitetów wyborczych (lokalnych) i siedmiu aresztowań w albańskiej Girokastrze 20 lat temu, nie musi koniecznie prowadzić do konieczności przerysowania map Bałkanów Zachodnich (owszem, potrzeba taka, jak postaram się to zasugerować w dalszej części tekstu, może się pojawić, ale na innych, choć nieodległych, obszarach).

Wykreowanie, animowanie lub „skonceptualizowanie” nowej quasi-narodowej tożsamości zbiorowej, stanowiącej potencjalny rozsądny separatyzmów, nigdy nie było tak łatwe, jak współcześnie

W pierwszej jednak kolejności, zanim jeszcze podejmie się próbę wstępnego odsiania separatyzmów pozornych, utrzymywanych w stanie załączkowym przez znudzonych

lub marzących o karierze regionalistów i rozdmuchanych przez dziennikarzy, rozróżnienia między organizmami quasi-państwowymi, potrzebującymi na gwałt „wypełnienia” narodem (jak Cypr Północny) a zbiorowościami etnicznymi przeżywającymi eksplozję demograficzną, doświadczającymi braku perspektyw, a czasem, co gorsza, oglądającymi się na położone po sąsiedzku „państwo narodowe” (tu z kolei klasycznym przykładem mogą być Albańczycy zamieszkujący zachodnią Macedonię i południową Serbię), warto zwrócić uwagę na zjawisko bardziej w moim przekonaniu fundamentalne, a zarazem często zapoznawane przez publicystów, bijących na alarm w związku z

narodzinami lub odrodzeniem separatyzmów. Zjawisko, dodajmy od razu, wiążące się nie tyle ze sferą polityki, co z przemianami cywilizacyjnymi i kulturowymi.

Być może zresztą należałoby mówić nie tyle o „zjawisku”, co o kilku prawidłowościach i zależnościach, przekładających się na prawdę dość dwuznaczną, brzmiącą niemal paradoksalnie. Wydaje się bowiem, że z jednej strony wykreowanie, animowanie lub „skonceptualizowanie” nowej quasi-narodowej tożsamości zbiorowej, stanowiącej potencjalny rozsądny separatyzm, nigdy dotąd nie było tak łatwe, jak współcześnie. Zarazem jednak – i tu kryje się paradoks – nigdy tego rodzaju inicjatywy, manifestacje i przedsięwzięcia nie spotykały się z większą obojętnością, wynikającą nie tyle nawet ze słabości struktur państwa, co z lekceważącej oceny zagrożeń, jakie inicjatywy takie ze sobą niosą. Mówiąc bardziej przejrzyście i bardziej kolokwialnie zarazem: nigdy dotąd nie było tak łatwo „zrobić sobie narodu” – tyle, że powstanie tego rodzaju bytu, który wiek temu mężowie stanu traktowaliby z najwyższą powagą, dziś stosunkowo mało kogo obchodzi.

Żeby zdać sobie sprawę z tej różnicy, dość przypomnieć sobie, jaki tektoniczny potencjał miało przez półtora wiekiem domaganie się podmiotowości przez (sięgnijmy po to nielubiane przez współczesnych politologów uproszczenie) „narody historyczne”: aspiracje Polaków, Serbów, Czechów nie dawały spokoju Europie pokongresowej. Można je było do czasu tłumić, klajstrować, zagłaskiwać koncesjami, ostatecznie jednak doprowadziły do rozpadu trzech, a z uwzględnieniem Istanbuhu – czterech imperiów, aspirujących do kontrolowania Europy Środkowej, a szerzej – do zmierzchu znaczenia całej Europy.

Nie dość na tym: w większości skuteczne próby re/animowania (ukośnik po „re” posłużyć może za swego rodzaju odgromnik) „narodów niehistorycznych” (Litwinów, Ukraińców czy Macedończyków) prowadziły do najżywszych polemik, sporów, rewolt, nieraz wojen: nie było w międzywojniu większej obelgi w dialogu politycznym niż stwierdzenie, że ta lub inna wspólnota jest „bytem urojonym”, kawiarnianym lub kanapowym wynalazkiem kilku etnografów, biurokratów, instruktorów skautowych i poruczników: a mawiano tak przecież, przypomnijmy, i o Polakach, i o Żydach, i o Rusinach.

Zmieniło się to, po zakończeniu zimnej wojny, po zachodniej stronie żelaznej kurtyny. Wiele się na to złożyło: przede wszystkim żywa, liberalna niechęć do palety przedwojennych autorytaryzmów, uznanych za jeden z zapalników prowadzących do kataklizmu wojny. W tym – do ich przywiązania do idei „narodu państwowego”, do marszczenia brwi na różnego rodzaju odrębności i lokalności. Postawa „niech rozkwita tysiąc kwiatów”, przekładająca się i na ustawodawstwo, gwarantujące prawa edukacyjne, językowe i polityczne mniejszościom, i na finansowanie regionalizmów z budżetów, i na życzliwość dla wszelkiego rodzaju folklorów, nie była tak niewinna, jak się wydaje: stała za tym mocna, choć nie zawsze artykułowana wprost, niechęć do wszelkiego rodzaju silnych tożsamości i prymordialnych emocji zbiorowych.

Nie trzeba być tropicielem New World Order, iluminatów i spiskowców z Bilderbergu, żeby zdawać sobie sprawę z obecności tego przekonania i tego rodzaju obaw u kolejnych pokoleń architektów UE. Mniejsza zresztą o Unię (choć to ona okazywała się dysponentem coraz większych środków): również z perspektywy globalnej ekonomii, jak

Otwartość na regionalizmy nowego i starszego chowu okazała się znakomicie współgrać z charakterystycznym dla drugiej połowy XX wieku narcyzmem: żywą potrzebą, by podkreślać swoją tożsamość i osobność

pisze Masao Myioshi, nowe tożsamości, niezakorzenione tak mocno w rzeczywistości historycznej jak „narody”, a zatem plastyczne i niegroźne, są pożądanym ozdobnikiem, kolejnym stanowiskiem „w wielkim parku tematycznym lub

galerii handlowej”, i stają się zawłaszczane bez reszty przez różne formy komercjalizmu. Nie trzeba zresztą czytać Myioshi, w Polsce dostępnego tylko w kilku cytatach w świetnej pracy Billa Readingsa, wydanej niedawno przez NCK: dość podczas zakupów w Arkadii zajrzeć do food court, by przekonać się, jak duch skandynawski (łosoś), amerykański (burger), tajski, libański i włoski koegzystują w harmonii, jakiej nigdy nie byłby w stanie stworzyć ONZ...

Taka otwartość na regionalizmy nowego i starszego chowu okazała się znakomicie współgrać z tak charakterystycznym dla drugiej połowy XX wieku narcyzmem: żywą potrzebą, by przy każdej okazji podkreślać swoją tożsamość, swoją osobność, „być sobą”. Oczywiście, ten przymus autoekspresji, podniesiony do rangi dogmatu przez pokolenie '68, owocował tysiącami produktów (pop)kultury, zwykle bardziej spektakularnymi niż regionalizmy; wolno jednak uznać również

reanimowanie tożsamości sardyńskich, friuliańskich, karynckich czy bretońskich za dążność, znajdującą oparcie we wszechobecnym, nazwijmy to, duchu epoki.

Co dopiero mówić o całej kulturze „zbiorowych tożsamości wirtualnych”, pączkujących w latach 70. na marginesach kultury, w oparciu o pirackie rozgłośnie radiowe (głośny casus „Sealandu”, proklamowanego w roku 1972) lub new age’owe inicjatywy religijne, eksplodujących zaś wraz z narodzinami internetu, w którym istnieją obecnie dziesiątki, jeśli nie setki „wirtualnych państw”? Rzecz jasna, oferują one jedynie obywatelstwo i fantazyjne, nieuznawane przez nikogo paszporty; czasem odwołują się do minionych, nostalgicznie wspominanych, realnych bytów politycznych (charakterystyczna jest popularność „wirtualnej Jugosławii”, istniejącej bodaj w czterech odmianach i na tyłuż serwerach; podobnie z wirtualną Czechosłowacją i NRD); częściej do mitologii, bytów zaprzeszytych i czystych fantazji.

I tak popkultura, wielkie koncepcje europejskiego ładu oczyszczonego z mocnych narracji, odpowiednio skonstruowane budżety, ambicje lokalnych kandydatów na polityków oraz inwestorzy zainteresowani dobrze się sprzedającą „lokalnością”, choć działali niezależnie od siebie, nieraz nie wiedząc o swoim istnieniu, nieraz się lekceważąc, wyprodukowali dziesiątki „protoseparatyzmów”. Dziś rzeczywistą wagę polityczną ma „wielka czwórka”: kataloński, baskijski, szkocki i flamandzki. W sytuacji jednak, kiedy „proxy wars” z Zachodem miałyby być rozgrywane w Europie Zachodniej – nietrudno uruchomić kolejne.

Zupełnie inna sytuacja ma rzecz jasna miejsce na Bałkanach i na obszarze postsowieckim, gdzie na rzeczywiste i żywe dysproporcje i przemieszczenia narodowościowe czasów otomańskich, carskich lub sowieckich nałożyła się „zamrażarka” późnego komunizmu i zapaść gospodarcza towarzysząca kolapsowi ZSRS: tam zachodnioeuropejskie retoryki separatystyczne mogły być imitowane lub importowane, pozostawały jednak kwiatkiem u kozucha, pozłotką.

Trudno tam jednak mówić o „separatyzmach” pokrewnych rozumieniu podręcznikowemu lub bodaj sytuacjom znanym z Europy Zachodniej. Tym ostatnim bliskie są ruchy pozorne, wyrosłe na podłożu zwietrzałych resentymentów historycznych, narcyzmu i ambicji polityków lokalnych: myślę o istniejących jedynie w Wikipedii, reportażach ambitnych obieżyświatów i sprawozdaniach odpowiednich komórek miejscowego MSW ruchach istrijskich, północnoepirskich czy siedmiogrodzkich: można przyglądać się ich flagom i czasopismom bez obawy wybuchu.

Z zupełnie inną sytuacją mamy do czynienia w przypadku istnienia struktur quasi-państwowych de facto powstałych bądź w następstwie agresji zbrojnej (Turecka Republika Cypru Północnego), bądź bierności i „wycofania się” jako wyboru państwa, które chce uniknąć zgubnego dlań, niemożliwego do wygrania konfliktu (Naddniestrze, Gagauzja, Republika Serbska w Bośni). Nie sposób uznawać tych tworów, nie sposób ich ignorować. Potencjał (demograficzny, polityczny, ideowy) do tego rodzaju rozpadu państw istnieje również na zachodzie Macedonii i w serbskim Sandżaku: tam również mamy do czynienia nie tyle z igraszkami na poziomie decorum, lecz istnieniem lub budowaniem alternatywnej rzeczywistości quasi-państwowej.

